

Anna Siudak

Dialog życia z wyznawcami islamu : świadcstwo katolickiej misjonarki

Nurt SVD 50/1 (139), 188-203

2016

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Dialog życia z wyznawcami islamu. Świadectwo katolickiej misjonarki

Anna Siudak FMM

siudaka@tlen.pl

Papieskie Dzieła Misyjne w Warszawie



Ur. w 1959 r. W 1979 wstąpiła do Franciszkanek Misjonarek Maryi. W latach 1988-1993 przebywała na misjach w Tunezji i Libii. Studiowała teologię na KUL (1996-2001); doktorat na Wydziale Teologicznym UKSW w Warszawie (2007): *Duchowość zakonna Franciszkanek Misjonarek Maryi na podstawie pism bł. Heleny de Chappotin (Marii od Męki Pańskiej)*. Obecnie pracuje w Papieskich Dziełach

Misyjnych. Należy do zespołu redakcyjnego „Misji Dzisiaj”.

Dialog życia jest podstawową formą dialogu, który Kościół katolicki prowadzi z innymi religiami. W dialogu codzienności uczestniczyłam z tej racji, iż zostałam posłana przez moje Zgromadzenie Franciszkanek Misjonarek Maryi (FMM) do pracy w Afryce Północnej. W skład naszej północnoafrykańskiej prowincji wchodzi Algieria, Tunezja i Libia. Najdłużej przebywałam w Libii. Moje świadectwo będzie dotyczyć przede wszystkim tego kraju.

Misja Franciszkanek Misjonarek Maryi w Libii

Pierwsza fundacja sióstr FMM w Libii została założona w 1925 roku. Libia była w tym czasie włoską kolonią. Siostry prowadziły żłobek, sierociniec i szkołę dla dzieci włoskich oraz przychodnię zdrowia dla Libijczyków. Od samego początku miały kontakt z tubylcami odwiedzając ich chorych, rodziny oraz obozy Beduinów. Z czasem fundacja się rozrosła. Siostry wybudowały kościół poświęcony Matce Bożej oraz szkołę. Po II wojnie światowej, gdy Włosi wycofali się z Libii, ich

miejsce zajęli Anglicy i Francuzi. W 1951 roku Libia uzyskała niepodległość i stała się monarchią pod rządami króla Idrisa I. Dzieci włoskie zostały wysłane z sierocińca do Włoch.

W 1960 roku siostry przejęły prowadzenie szkoły wybudowanej przez Włochów. Było tam kilka tysięcy uczennic, a wśród nich Libijki. W szkole, oprócz zwyczajnej nauki, siostry organizowały kursy językowe, kroju i szycia, a także pisania na maszynie.

Gdy 1 września 1969 roku do władzy doszedł pułkownik Muammar Kadafi, Libię w pierwszej kolejności musieli opuścić wszyscy Anglicy i Amerykanie, a następnie Włosi. Wyjątkiem były włoskie siostry FMM. Niestety, kościół sióstr został zamieniony na bibliotekę, a budynki szkolne uległy przekształceniu na szkołę koraniczną i biura ministerstwa zdrowia oraz spraw socjalnych. Siostrom przydzielono nowy dom przy ul. Ben Aszur w Trypolisie, a w zamian za zajęte budynki klasztorne zgromadzenie otrzymało domy w różnych dzielnicach Trypolisu. Siostry znalazły się w nowej sytuacji. Dotychczas wszystkie dzieła znajdowały się w obrębie klasztoru. Teraz siostry zostały zaproszone, by żyć i pracować razem z Libijczykami.

Gdy w 1979 roku nastąpiła militaryzacja kraju, wszystkie szkoły zamieniono na „kolegia wojskowe”, obowiązkowe dla chłopców i dziewcząt. Inne szkoły zostały zamknięte. Z tego powodu siostry musiały pozostawić swoją szkołę i rozpocząć pracę w Centrum dla Sparyżowanych Dzieci w Trypolisie, a także w leprozorium, szpitalu dziecięcym oraz w więzieniu dla kobiet, gdzie większość stanowiły samotne matki. W Libii cudzołóstwo jest karane dożywotnim więzieniem i jedyną możliwość wyjścia z niego stanowi dla kobiet propozycja wyjścia za mąż. Siostry prowadziły różne kursy, by poprzez praktyczne przygotowanie do obowiązków matki i żony dać osadzonym większą szansę wyjścia na wolność.

Moja misja w Libii

Kiedy przybyłam do Libii w 1989 roku, pułkownik Kadafi obchodził 20-lecie objęcia władzy. Moje zgromadzenie dysponowało już tylko dwiema wspólnotami w Trypolisie, w których przebywało 10 sióstr pochodzących z 7 narodowości. Każda z nas pracowała w innym miejscu. Było to bardzo trudne doświadczenie, ale mimo zmniejszonej liczby sióstr miałyśmy szerokie kontakty z Libijczykami.

Dialog życia z wyznawcami islamu polegał na życzliwym obcowaniu z nimi w dzielnicy, w której mieszkalam, a także podczas pracy. Opierał się przede wszystkim na naturalnej ludzkiej solidarności

i codziennych kontaktach utrzymywanych w duchu tolerancji. Istotną rolę pełnił także wysiłek zrozumienia naszych odrębności. Islam znałam tylko z mediów, które ukazywały go w najbardziej negatywnym świetle. Związane to było z działalnością islamskich ugrupowań fundamentalistycznych. Jednak już od pierwszych dni pobytu odkrywałam, że moje spojrzenie na tę religię jest bardzo krzywdzące dla ludzi, wśród których żyłam.

Mój obraz islamu i jego wyznawców różnił się też od tego, jaki mieli moi rodacy, którzy pracowali w Libii na podstawie kontraktów. Im najczęściej utkwiły w pamięci: źle funkcjonująca administracja, morderczy klimat, odizolowane od osad tubylców obozy pracy, pustyne krajobrazy wzmagające tęsknotę za krajem i rodziną, Libijczycy, którzy opornie wdrażali się do pracy. Nie ma się temu co dziwić. Przecież cel naszych misji był skrajnie różny.

Nie pracowałam na kontrakcie. W moim zakładzie pracy, w Centrum dla Sparaliżowanych Dzieci w Trypolisie, byłam jedyną Europejką i chrześcijanką. Zarabiałam tyle samo, co Libijczycy. Mieszkałam w jednej z ich dzielnic, w domu połączonym trzema ścianami i tarasem z innymi. Ponieważ pracowałam z wyznawcami islamu, wolne od pracy miałam piątki i wszystkie muzułmańskie święta. I zawsze miałam problem, czy iść, czy nie iść do pracy, bo początek tych świąt zależał od faz Księżyca. Każdego roku podziwiałam też delikatność mojego muzułmańskiego dyrektora Abdu Salama, który zawsze pamiętał, by dać mi dni wolne w Boże Narodzenie i w Wielkanoc.

W Libii reprezentowałam religijną i narodową mniejszość, a moja rola sprowadzała się do służby. Zawód pielęgniarki bardzo mi ją ułatwiał. Sytuacja w pracy mile mnie zaskoczyła. Znalazłam się w wielkiej, solidarnej rodzinie. Z wyjątkową troską zajmowano się tu chorymi dziećmi. Wszystkim zależało też na moim dobrym samopoczuciu. W pracy nie czułam się wyobcowana ani zagrożona. Wręcz przeciwnie – znalazłam się w gronie oddanych przyjaciół. Mój dyrektor chciał, bym ciągle przebywała z dziećmi. Często nie mogłam nawet zrobić koniecznych rzeczy w gabinecie pielęgniarskim, bo zawsze mnie wzywał. Kiedyś trochę zdenerwowana zwróciłam mu uwagę, że jak będę stale przebywać z dziećmi, to zaczną myśleć, wartościować i zachowywać się tak jak ja, czyli po chrześcijańsku. On ze stoickim spokojem wyznał, że właśnie o to mu chodzi.

Zachowanie dyrektora często wprowadzało mnie w zdumienie. Pierwszego dnia w pracy oddał mi do dyspozycji klucze do apteki i magazynów, których nie powierzał nikomu innemu. Zaufanie, jakim mnie darzył, mobilizowało do tego, by go nie zawieść. Z takim samym

zaufaniem powierzał mi chore dzieci, co było najsilniejszym bodźcem, by szybko nauczyć się języka arabskiego, którego na początku nie rozumiałam do końca.

Szczytem delikatności i wyjścia mi naprzeciw było uroczyste obchodzenie w pracy Nowego Roku. Dyrektor uważał, że skoro chrześcijanie zaczęli odliczać czas od narodzenia Jezusa, oznacza to, że jest to najlepszy dzień świętowania Jego narodzin. Tego dnia była choinka, prezenty dla dzieci, europejskie słodczyce i inne smakołyki. Było to największe święto, jakie wspólnie obchodziliśmy w pracy (muzułmanie swoje święta obchodzili w rodzinach).

Po miesiącu dzieci zorientowały się, że nie jestem muzułmanką. Większości z nich, tak jak i dorosłym, to nie przeszkadzało. Ciągłe prowadziliśmy rozmowy na tematy religijne. Szczególnie dotyczyły one naszych różnic i osoby Jezusa. W Libii ewangelizacja jest zabroniona. Mimo to nie było dnia, aby nie stawiano mi pytań odnośnie do mojej wiary. Nigdy nie zaczynałam tych rozmów, zawsze odpowiadałam tylko na stawiane pytania. Codziennie więc, bez znużenia, opowiadałam, jak wierzę, jak się modłę, jak poszczę, co uważam za dobre, a co za złe. Odpowiadając setki razy na te same pytania, byłam motywowana do autentycznego życia wiarą i stałego nawracania się. Nie można pozostać oziębłym wśród muzułmanów, którzy rygorystycznie praktykują swoją religię. Nie pozwala na to kontakt z nimi. Poznałam licznych chrześcijan, którzy dzięki muzułmanom ponownie nawrócili się na chrześcijaństwo i zaczęli je gorliwie praktykować.

W Libii wszyscy cudzoziemcy, którzy pracowali na kontraktach, a także pracownicy ambasad, nie mieli żadnych problemów, by praktykować swoją religię, jeśli byli chrześcijanami. Wręcz przeciwnie, wszędzie, gdzie przebywali, udostępniano im pomieszczenia do sprawowania Eucharystii. W Libii funkcjonowały tylko dwa kościoły (budynki). Natomiast Kościół żywy – chrześcijanie wszystkich narodowości – był rozsiany po całym kraju. Księża musieli dojeżdżać do wiernych. Z okazji wielkich świąt dostawali specjalne bilety na samoloty, by mogli dotrzeć do jak największej liczby wyznawców Chrystusa.

Dialog międzykulturowy

Dzięki dorosłym, a szczególnie dzięki dzieciom, miałam w mojej pracy możliwość wchodzenia w tajniki języka, zwyczajów oraz tradycji arabskiej. W miesiącu postu, czyli *ramadanie*, pracowałam zawsze po południu, by odciążyć tych, którzy pościli, zwłaszcza kobiety, które przygotowywały *ramadanową* kolację. Nikt się nie gorszył, że nie

poszczę. Wręcz przeciwnie, młodsze dzieci (post obowiązywał od 10 roku życia) dawały mi część ze swojego podwieczorku, bym miała siły bawić się z nimi, a kobiety zapraszały mnie do kuchni, bym oceniła smak potraw przygotowywanych na kolację. Te *ramadanowe* popołudnia były okazją, by zaprosić chrześcijańskie dzieci, które katechizowałam w kościele, do zabawy z muzułmańskimi dziećmi. Dyrektor sprzyjał takim kontaktom. Dzieci nawzajem się poznawały, odkrywały i miały okazję się zaprzyjaźnić.

Dzieci muzułmańskie były dla mnie wyjątkowo wyrozumiałe. Gdy czegoś nie rozumiałam po arabsku, odgrywały przede mną scenki, bym mogła zrozumieć słowo bądź sytuację. Czuły się dowartościowane, że mogą uczyć dorosłą osobę, a ja obficie korzystałam z ich nauki. Rewanżowałam się im za to, ucząc je tabliczki mnożenia oraz pomagając im rozwiązywać zadania z matematyki. Choć wiedziały, że jestem chrześcijanką, niczego mi nie narzucały. Nie prosiły o pomoc w nauce Koranu. Sama pomagałam im w czytaniu innych książek, ale nigdy Koranu.

Najbardziej wzruszające były dla mnie te momenty, kiedy dzieci próbowały przekroczyć swoje zwyczaje, by okazać mi np. wdzięczność. W krajach muzułmańskich na mamę i tatę dzieci mówią „moja mamó”, „mój tato”. Są to słowa zarezerwowane tylko dla rodziców. Nie nazywa się tak innych osób. Dlatego często byłam mile zaskoczona, gdy któreś z dzieci, by mi w jakiś szczególny sposób podziękować, mówiło po cichu do mojego ucha *umij* („moja mamó”).

W islamie obowiązuje prawo zemsty („oko za oko, ząb za ząb”). Było ono wszechobecne wśród dzieci, z którymi pracowałam – i to mimo ich kalectwa. Wiele z nimi rozmawiałam na ten temat. Po jakimś czasie wprowadziliśmy wzajemne przeproszanie się i pojednanie, które kończyło konflikty oraz zapobiegało zemście. Wielkim zaskoczeniem było dla mnie to, że muzułmańskie wychowawczynie podjęły ten nowy zwyczaj. Sprawiało mi wielką radość, jak widziałam, gdy wyrażały mi w godzeniu zwaśnionych stron. Dialog życia miał tę cechę, że to, co dobre i wartościowe, było podejmowane bez uprzedzenia przez obie strony. Nie istniała obawa, że własna tradycja może coś na tym stracić.

Najgłębszy sens mojej misji

Pod koniec któregoś *ramadanu* mój dyrektor Abdu Salam miał zawał serca i w ciężkim stanie leżał na oddziale intensywnej terapii. Było to akurat w czasie, gdy po raz pierwszy przeżywałam głęboki kryzys dotyczący sensu mojej misji. Byłam zmęczona (bardziej niż muzuł-

manie) postem i nocnym życiem towarzyskim, które szczególnie kwitnie podczas tego miesiąca.

Gdy jak zwykle przyszedłam na popołudniową zmianę, oznajmiono mi, że Abdu Salam chce mnie zobaczyć. Byłam tym strasznie zdziwiona. Po pierwsze, nikogo nie wpuszcza się na salę intensywniej terapii. Po drugie, byłam obcą kobietą i nie miałam prawa ani go odwiedzić, ani z nim rozmawiać poza zakładem pracy. Mogła to zrobić tylko jego matka, żona i córki. Według zwyczajów islamu moje odwiedziny u niego były niemożliwe i niewskazane. Ale skoro Abdu Salam prosił, pojechałam. Specjalnie zaangażował do tego Najmę, jedyną pielęgniarkę Libijkę (w krajach muzułmańskich pielęgniarkami są najczęściej mężczyźni), bym według zwyczaju miała kobiece towarzystwo.

Abdu Salam był kompletnie zmieniony chorobą. Nie poznałam go. Znajdował się w stanie agonalnym. Gdy mnie zobaczył, rozplakał się i poprosił, bym razem z moimi siostrami modliła się za niego. Miał 44 lata i ośmioro dzieci.

Nigdy tak gorliwie nie modliłam się, jak po powrocie ze szpitala. A Abdu Salam bardzo szybko powrócił do zdrowia. Często dawał mi odczuć, że stało się to dzięki naszej modlitwie. Jego przypadek pomógł mi raz na zawsze pokonać kryzys sensu mojej obecności i misji wśród wyznawców islamu.

Dialog życia z sąsiadami

Drugim wielkim polem dialogu życia z islamem byli sąsiedzi w dzielnicy, w której do dzisiaj mieszkają moje współsiostry. Nasz dom nazywa się „Źródło życia” i przypomina, że jako kobiety konsekrowane mamy przekazywać Boże życie tym, do których jesteśmy posłane.

We wspólnocie miała miejsce nieustanna rotacja sióstr, byłyśmy międzynarodową mozaiką. Na stałe przebywały w domu tylko dwie Maltanki, Mary i Maria, które spędziły w Libii całe swoje życie zakonne i obchodziły jubileusz 50-lecia pobytu w tym kraju. Doskonale znały język arabski i obowiązujące zwyczaje. Były nauczycielkami dla nowo przybyłych sióstr. Bardzo dużo im zawdzięczam. Libijczycy również. Nasza dzielnica wyraźnie różniła się od innych właśnie dzięki ich oddziaływaniu. Nazywano je *Hadzie*, choć one nigdy nie były na pielgrzymce w Mekce. Posiadły natomiast mądrość tych, którzy pielgrzymowali do świętego miejsca muzułmanów. Znano je i szanowano. Ciągłe ktoś przychodził do naszego domu po pomoc czy radę. Niekiedy czułam się tam jak na targowisku. Niekończący się ruch. Szanowano jedynie nasz czas przeznaczony na modlitwę.

Według zwyczajów islamu do domu, w którym mieszkały same kobiety, nie mógł wejść żaden mężczyzna. Naszego domu to jednak nie dotyczyło. Bywali u nas panowie, którzy mieli problemy małżeńskie. Korzystali z dobrych rad moich najstarszych siostr. Przychodzili do nas wtedy, gdy wspólnota była w komplecie. Nie chcieli wzbudzać choćby cienia podejrzania. Rozwód w państwach muzułmańskich jest czymś wyjątkowo bolesnym i niszczy całe rodziny. Dlatego główną misją siostr Mary i Marii było nie dopuszczać do nich w naszej dzielnicy. Ta misja okazała się wyjątkowo skuteczna.

Do dzisiaj normą w państwach muzułmańskich jest to, że młodzi ludzie nie znają się przed ślubem. W dniu zaślubin widzą się po raz pierwszy w życiu. W naszej dzielnicy siostra Mary ciężko pracowała nad tym, by przed ślubem młodzi mogli się spotkać, albo chociaż porozmawiać ze sobą przez telefon. Wszyscy przymykali oczy na to „kryminalne” zachowanie. Z czasem nie było takiego wesela (zawsze w nich uczestniczyłyśmy), by młodzi nie znali się wcześniej.

Często, gdy wracałam z pracy, przed furtką naszego domu stał samochód. Wiedziałam wtedy, że na „dialog małżeński” przyjechało do nas jakieś młode małżeństwo z dziećmi. Maria zazwyczaj pomagała im porozumieć się, a Mary zajmowała się w tym czasie dziećmi.

Misja towarzyszenia małżeństwom mieszanym

Takiej pomocy, o której wyżej pisałam, szczególnie wymagają małżeństwa mieszane. W Libii spotkałam wiele Polek, które wyszły za mąż za Libijczyków. Towarzyszenie im było moją szczególną misją, bo wiedziałam, jak wielkie znaczenie dla dialogu i pojednania międzyreligijnego mają mieszane rodziny. My – siostry, mimo że mieszkaliśmy razem z Libijczykami, zawsze byliśmy kimś z zewnątrz. Chrześcijańskie kobiety, gdy zaczynają akceptować i kochać ten obcy dla siebie świat, mają wielki wpływ na klimat swoich rodzin i wychowanie dzieci.

W codziennym życiu najszybciej uwidaczniają się różnice religijne, ale również wartości, które są wspólne i które stają się płaszczyzną głębszych relacji. Zaraz po przyjeździe do Trypolisu, podczas odwiedzin u jednej z muzułmańskich rodzin w mojej dzielnicy, opowiedziano mi, że w sąsiedztwie mojego domu mieszka Polka. Wielką sensacją był fakt, iż po przybyciu do Libii przeszła na islam. Bardzo chciałam ją zobaczyć, ale moje współsiostry Mary i Maria odradzały mi to, gdyż w rodzinie, do której trafiła moja rodaczka, kilkoro z jej członków było fundamentalistami. Kontakty z nią stanowiły dla nas obu niebezpieczeństwo. Ale ja nie mogłam się z nią nie spotkać. Należę przecież

do narodowości, która w takich przypadkach musi znaleźć jakieś wyjście. Poszłam do najbliższej sąsiadki Ajszy, która była wdową. Ona mogła wychodzić, gdzie chciała (w normalnej sytuacji to mąż decyduje o tym, czy kobieta może wyjść z domu, czy nie). Ponadto była bardzo zaradna. Utrzymywała dom i samotnie wychowywała ośmioro dzieci. Ajsza nie widziała problemu, by moją rodaczkę i mnie zaprosić w tym samym czasie do siebie.

Gdy nastął dzień spotkania, z bijącym sercem poszłam do Ajszy. Ona zdążyła już zaprosić na to spotkanie kilka sąsiadek, które swobodnie mogły wyjść z domu. Gdy do domu weszła Ewa, ubrana w długą muzułmańską suknię i w chustce na głowie, Ajsza zaczęła ją przedstawiać. Kiedy mówiła, że jest muzułmanką, Ewa mocno zaprotestowała. Powiedziała stanowczo, że została zmuszona do powtórzenia muzułmańskiego wyznania wiary. Powtórzyła słowa, których nie rozumiała i nie poczuwa się do tego, by zdradziła chrześcijańską wiarę. Następnie mocno stwierdziła, że była, jest i będzie chrześcijanką. Na plecach poczułam dreszcz trwogi. Gdy jej rodzina dowie się, że wyparła się islamu, zostanie zabita.

Po spotkaniu z moją rodaczką przeżywałam paniczny strach o jej życie. W nocy nie mogłam spać i nasłuchiwałam, czy nie słychać płaczu żałoby. W mojej dzielnicy, która liczyła kilka tysięcy ludzi, o czyjejś śmierci wiedziałyśmy w przeciągu trzech minut. Kobiety w domu, w którym ktoś zmarł, wychodziły na taras i głośno zawodziły. Do nich dołączały sąsiadki. Po kilku minutach wszyscy wiedzieli o śmierci. Mężczyźni natychmiast szli na pogrzeb (w muzułmańskim pogrzebie biorą udział tylko oni), bo ciało chowa się możliwie najszybciej.

Następnego dnia nie mogłam znaleźć sobie miejsca w pracy. Gdy z niej wróciłam, pytałam siostr, czy nie było płaczu żałoby podczas mojej nieobecności. Gdy siostry zapewniały mnie, że nic takiego nie miało miejsca, usłyszałam dzwonek od furtki. To była Ewa ubrana po europejsku. Jej fundamentalistyczna rodzina uznała, że skoro tak mocno przyznaje się do chrześcijaństwa, powinna je dalej praktykować. Była więc wolna. Mogła do nas przychodzić, kiedy chciała, a ja bez lęku odwiedzałam jej rodzinę muzułmańskich fundamentalistów. Wkrótce potem mąż Ewy kupił mieszkanie, w którym cała rodzina zamieszkała oddzielnie. Po niedługim czasie w naszej kaplicy Ewa wzięła ślub kościelny, którego udziela się małżeństwom mieszanym. Jako jedna z nielicznych kobiet z mieszanych małżeństw mogła chodzić do katolickiego kościoła oraz otwarcie praktykować swoją religię.

Równie ciekawą sytuację zastałam zaraz po przyjeździe do Tunisu. Siostry zabrały mnie na pogrzeb Hiszpanki, która żyła w małżeń-

stwie mieszanym. Pogrzeb miał miejsce w kościele św. Joanny D'Arc. Ta kobieta „przeszła” na islam podobnie jak Ewa i nigdy nie praktykowała wiary chrześcijańskiej. Zwyczajowo powinna zostać pochowana na cmentarzu muzułmańskim. Jednak rodzina jej męża poprosiła, by ceremonia pogrzebu odbyła się w kościele, gdyż uznano, że owa kobieta żyła jak chrześcijanka. Mężczyźni z jej muzułmańskiej rodziny przyszli do kościoła. Przy jej trumnie czytano i śpiewano Koran na zmianę z Pismem Świętym. Była to najpiękniejsza modlitwa międzyreligijna, w jakiej uczestniczyłam. A potem – na prośbę muzułmanów – pochowano ją na cmentarzu chrześcijańskim. My, kobiety, mogłyśmy uczestniczyć w pogrzebie oraz złożyć rodzinie kondolencje. Wkrótce po pogrzebie dzieci tej kobiety przyszły do naszego kapelana zamówić za zmarłą mszę świętą. Uczestniczyły w niej razem z ojcem oraz innymi członkami rodziny. Dopełnili zatem wszystkich możliwych obowiązków religijnych oraz uszanowali to, kim była ich matka i żona.

Ciekawym fenomenem są dzieci z małżeństw mieszanych. One najgłębiej doświadczają cierpienia, jakie niesie ze sobą nieustanna konfrontacja różnic kulturowych i religijnych. Mają też problemy z ustaleniem swojej tożsamości religijnej. Często, by nie narazić się ani tacie, ani mamie, tworzą swoisty synkretyzm religijny i tak samo kochają Jezusa, jak Mahometa. Większość z nich pozostaje ludźmi otwartymi, poszukującymi oraz niezwykle tolerancyjnymi.

W dzielnicy, w której mieszkałam, nasi sąsiedzi-muzułmanie mieli o nas szczególne staranie. Przez jakiś czas pracowałam sama, Mary i Maria były emerytkami, a jako cudzoziemki nie miały prawa do emerytury. Dwie inne siostry z Filipin i Indii były w trakcie długiego załatwiania formalności, by mogły otrzymywać wynagrodzenie za pracę. Musiały więc wystarczyć te pieniądze, które ja zarabiałam. Pokrywały one jedynie podstawowe rachunki domu. Za mieszkanie nie musiałyśmy płacić. W Polsce w takich warunkach byśmy się nie utrzymały. Natomiast w Trypolisie było to możliwe dzięki naszym sąsiadom-muzułmanom. Każdego dnia otrzymywałyśmy więcej żywności i innych rzeczy, niż potrzebowałyśmy. Ci, którzy nas najbardziej wspierali, wcale nie należeli do bogatych tego świata. Każdego dnia doświadczałam cudów sąsiedzkiej solidarności.

Najbardziej wspominam sąsiada, który mieszkał naprzeciwko. Miał na imię Józef i był gorliwym muzułmaninem. Często chodził do meczetu i – o ile to od niego zależało – nie opuszczał żadnej modlitwy. Wyglądał jak mędrzec. Miał żonę i siedmioro dzieci, starszych i młodszych ode mnie. Na utrzymanie rodziny pracował na poczcie. Mimo że był ortodoksyjnym wyznawcą islamu, dał swoim córkom całkowi-

tą wolność w wyborze studiów, pracy, sposobu życia i ubierania się. Tylko najstarsza córka nie studiowała i wyszła za mąż. Pozostałe trzy, wybierając studia, pracę i europejski sposób ubierania się, miały nikłe szanse na zamążpójście, co w islamie uznawane jest za brak Bożego błogosławieństwa oraz sprawę wstydliwą (do dzisiaj mężczyźni wybierają nieuczzone kobiety, które pozwolą się zamknąć w domu). Szczytem życiowego spełnienia się każdej muzułmanki jest bowiem macierzyństwo. Miłość do córek kazała mu jednak podjąć cierpienie, które wynikało z odrzucenia jego najgłębszych przekonań religijnych. Bardzo też kochał swoją żonę. Był również bardzo życzliwy względem nas.

Gdy na pierwszym urlopie w kraju zrobiłam prawo jazdy, po powrocie do Libii nikt nie miał odwagi, by wprowadzić mnie w tajniki jazdy po Trypolisie, gdzie na drogach obowiązywało prawo „łokci i pięści”. Józef, słysząc, że mam z tym problem, podjął wyzwanie. Przez prawie miesiąc jeździł ze mną każdego popołudnia, dopóki nie nabrał pewności, że poradzę sobie sama. Oczywiście, zawsze musiała nam towarzyszyć siostra Mary, gdyż niedopuszczalne było, by mężczyzna przebywał sam w aucie z kobietą, która nie należy do jego najbliższej rodziny. Za to grozi kara dożywotniego więzienia.

Ani Józef, ani jego synowie nie przychodzili do naszego domu. Szanowali tradycję, zgodnie z którą tam, gdzie są same kobiety, mężczyźni nienależący do rodziny nie powinni wchodzić. My natomiast byłyśmy zawsze mile widziane i oczekiwane w jego domu. Odstępstwo od reguły zrobił jedynie wtedy, gdy miałam wypadek samochodowy i trwało dochodzenie. Gdy nie mógł się doczekać, kiedy przyjdę zdać mu relację z toku sprawy, wtedy przychodził do nas z jednym z synów. Bardzo zależało mu na tym, by oszczędzić mi problemów.

Gdy już opanowałam jazdę w mieście, miałam problem z wjazdem do garażu. Piaszczysta ulica schodziła stromo w dół, a do garażu trzeba było wjechać pod stromą górę. Na początku, kiedy wracałam z pracy, zawsze Józef albo któryś z jego synów „wyrastali spod ziemi” gotowi wprowadzić auto do garażu. Wycofali się, gdy tylko opanowałam tę umiejętność.

Jednego upalnego popołudnia miało miejsce wydarzenie bez precedensu. Józef zauważył, jak odprowadzałam wspomnianą Ewę, Polkę z mieszanego małżeństwa. Przyszła do mnie ze swoimi problemami i nie miałam sumienia pozostawić ją, by pojechać z siostrami do kościoła. Józef widział wyjeżdżające wcześniej siostry i przestraszył się, że zostałam sama w domu. Wszystkie domy w naszej dzielnicy łączyły się otwartymi tarasami i było nie do pomyślenia, by w takim domu kobieta mogła zostać sama. Było to niebezpieczne. Józef, nie przestrze-

gając zwyczaj, że z kobietą nie rozmawia się na ulicy, zaproponował, bym popołudnie spędziła w jego domu. Kiedy odmówiłam ze względu na pracę, którą miałam do wykonania, zaproponował, że przyśle do mnie jedną z córek. A kiedy i na tę propozycję nie zgodziłam się, Józef spędził w słońcu całe popołudnie siedząc pod moim domem i pilnując, by nic mi się nie stało.

Druga wspólnota moich sióstr mieszkała w bloku na czwartym piętrze. Sąsiadami byli sami Libijczykami. Wszyscy mieszkańcy jednego pionu stanowili solidarną rodzinę. Tam nie było problemu, gdy któraś siostra zostawała sama – była bowiem wśród swoich. Często podczas wakacji jedna z nich z konieczności musiała zostać sama w domu. Gdy wracała wówczas z pracy, jedna z sąsiadek przynosiła jej obiad. Sąsiedzi pytali o jej samopoczucie, czy jej czegoś nie brakuje. Zapraszali do siebie. Było tu możliwe coś, co jest kompletnie niemożliwe w państwach muzułmańskich – kobieta mieszkała sama.

Wyznawcy islamu są ludźmi bardzo gościnnymi. Właśnie gościnność jest szczególnym miejscem spotkania i dialogu. Zostałyśmy przyjęte w muzułmańskiej dzielnicy, a wyrazem wdzięczności z naszej strony było systematyczne odwiedzanie sąsiadów oraz znajomych z pracy. Szczególnie natężonym czasem sąsiedzkich wizyt był miesiąc muzułmańskiego postu. Każdego dnia u kogoś innego spożywałyśmy *ramadanową* kolację, a kiedy późno wracałam z pracy, składałyśmy tylko wizytę. Nasze odwiedziny były uważane za wielki zaszczyt zrobiony dla rodziny, która nas podejmowała.

By ukazać muzułmańską gościnność, wróć do mojej wizyty na południu Tunezji. Siostry prowadziły prywatną klinikę w Tunisie i pomagały biednym rodzinom z południa kraju, lecząc tamtejszych chorych za darmo. W tym czasie siostry pomagały ubogiej rodzinie, w której matka i kolejne dzieci miały problem ze stawami biodrowymi. Dzieci przestawały chodzić po okresie dojrzwania. Wszystkie one były u nas zoperowane i chodziły dzięki protezom. Jedynie najstarszy syn nie odziedziczył choroby. Jemu pomogły siostry skończyć szkołę fryzjerską i założyć zakład, dzięki któremu utrzymywał całą rodzinę. Niezapowiedziane pojechaliśmy odwiedzić tych ludzi. Rodzina ta nie miała zresztą telefonu.

Domownicy zajmowali dwa małe pomieszczenia bez okien. Ich całe ubranie stanowiło tylko to, co mieli na sobie. Na podłodze leżało kilka materacy do spania i siedzenia. Takiego ubóstwa nie mogłam sobie nawet wyobrazić. Mimo tego rodzice dzieci byli bardzo szczęśliwi z naszych odwiedzin. Zaraz zaprowadzili nas do oazy, byśmy mogły się umyć po pustynnej podróży. Gdy wróciłyśmy do ich domu, na

środku nędznego pomieszczenia stał mały, okrągły stół, a na nim królewski obiad. Zamówili go dla nas u bogatszych sąsiadów. Sami nigdy w życiu tak nie jedli... Przy ich możliwościach finansowych poczęstunek, który dla nas przygotowali, musieli spłacać kilka miesięcy. Pierwszy raz w życiu, mimo że byłam bardzo głodna, nie mogłam jeść. Znając cenę tego obiadu, nic nie chciało przejść mi przez gardło. By nie urazić gospodarzy, musiałam jednak wszystkiego spróbować. Smak tych potraw, zaprawiony tak niesamowitą dozą wdzięczności i miłości, pamiętam do dzisiaj.

Libijczycy nie różnili się w swojej gościnności od wspomnianej rodziny z Tunezji (choć nasi sąsiedzi, nawet gdy byli ubodzy, to nigdy tak skrajnie). Bardzo lubiłam odwiedzać sąsiadów (gdy mówię o sąsiadach, to myślę o kobietach; spotykałam się i rozmawiałam prawie wyłącznie z nimi). Podziwiałam sposób, w jaki te kobiety, które przecież nie wyszły za mąż z miłości, a ponadto były traktowane jako istoty stojące niżej niż mężczyźni, potrafiły stworzyć tak ciepły dom, w którym wszyscy czuli się kochani i akceptowani takimi, jakimi byli. Dla mnie była to nowość. Nowością było też to, że bez znajomości języka mogłam pójść do nieznanymi mi ludźmi i nic nie mówiąc nawiązać z nimi przyjacielskie relacje. To były niezapomniane lekcje bycia z innymi. Potem w miarę jak zaczęłam posługiwać się ich językiem, zaczęłam też tracić to pierwotne, wyjątkowe doświadczenie.

Oprócz języka w muzułmańskich rodzinach uczyłam się wielkiego szacunku do osób starszych. Po wejściu do domu trzeba było najpierw przywitać się z najstarszymi i z nimi porozmawiać. Zrozumiałam, że bezstresowe wychowanie dzieci polega na tym, iż wszystkie są chciane i traktowane jako przejaw Bożego błogosławieństwa. Są kochane bezinteresownie dlatego, że po prostu są. Po powrocie ze szkoły zawsze czeka na nie mama i inni domownicy, gotowi zająć się nimi oraz pomóc w lekcjach. Samotność była w tych rodzinach zjawiskiem kompletnie nieznanym.

Poza odwiedzinami u rodzin uczestniczyłam z siostrami w weselach, składaniu kondolencji rodzinom po śmierci bliskich, odwiedzałyśmy też chorych. Jednym słowem dzieliłyśmy radości i smutki tamtejszych ludzi. Oni zaś odwdzięczali się nam tym samym. Chcieli uczestniczyć w naszych świętach.

Siostra Mary zawsze piekła przed Bożym Narodzeniem dużo ciasta i rozdzielala je między sąsiadów. Zaraz po świętach dzieci przychodziły do nas celebrować z nami narodzenie Jezusa. Dom i taras były ich pełne. Przygotowywałyśmy dla nich słodycze. Dzieci odwiedzały kaplicę, gdzie znajdowała się szopka. Były ciekawe naszych bożona-

rodzeniowych zwyczajów. Po raz kolejny dzieci tak licznie pojawiały się w naszym domu pod koniec *ramadanu*, kiedy wszystkie były ubrane w nowe, piękne stroje, a nasza rola sprowadzała się do ich podziwiania.

W dalszej kolejności Boże Narodzenie świętowały w naszym domu kobiety. Same zresztą wyszły z taką inicjatywą. Pięknie ubrane dzieliły z nami radość z narodzenia Jezusa, który jest dla nich jednym z największych proroków. Jedynie mężczyznom nie wypadało świętować w naszym domu. Dlatego to przede wszystkim oni dopominali się świątecznego ciasta, które siostra Mary roznosiła do ich domów. Oni natomiast rewanżowali się w swoje największe Święto Ofiarowania (*Id al-Adha*), które upamiętniało gotowość Abrahama do złożenia Bogu w ofierze swojego syna Ismaila. Naznosili wtedy tyle baraniego mięsa, że starczało nam na cały rok. Musiałyśmy zakupić zamrażarkę, bo nikomu nie można było odmówić przyjęcia daru. Jednym słowem ustawicznie czymś się dzieliłyśmy i nasze życie wśród wyznawców islamu było wyjątkowo bogate w przeżycia, przyjacielskie relacje, wzajemną życzliwość oraz solidarność.

Pozostało mi też w pamięci świętowanie Paschy. Wielkanoc przypomina o zasadniczych różnicach, które dzielą chrześcijaństwo i islam. Ponadto budzi największe kontrowersje, bo muzułmanie nie wierzą ani w bóstwo Jezusa, ani w to, że został On ukrzyżowany i zmartwychwstał. W Wielkanoc dostawałam wolne w pracy. Poza tym największe święto było pomijane milczeniem. Tylko dzieci, choć nie wiem, w jaki sposób, bo data Wielkanocy jest ruchoma, zawsze na czas przypominały mi, że mam przynieść im baranka (ciasto upieczone w jego kształcie) i z nimi świętować. Przy okazji ich największego święta opowiadałam im, że my, chrześcijanie, nie musimy co roku – jak wyznawcy islamu – składać ofiary z baranka, bo Jezus ofiarował się za nas raz na zawsze. Baranek wielkanocny z ciasta jest tego przypomnieniem. Dzieci nie wnikały w dzielące nas różnice i były ze mną solidarne nawet w Wielkanoc. Dorośli natomiast dawali na to milczące przyzwolenie.

Święta paschalne obchodziliśmy w międzynarodowej wspólnocie w kościele św. Franciszka z Asyżu w Trypolisie. W Wielką Noc nikt spośród tam obecnych nie spał. O godzinie 20.00 zaczynaliśmy Wigilię Paschalną, która trwała do rana. W kościele mieszały się wszystkie rasy, języki i narody. Podczas liturgii bywało nawet kilkadziesiąt chrztów, najczęściej osób dorosłych (najliczniejsi byli Koreańczycy). Ja również przygotowywałam do chrztu kilkanaście osób z grupy francuskojęzycznej, w której pracowałam. Kiedy nad ranem kończyła się

uroczysta Eucharystia, następowała eksplozja radości. Wszyscy chrześcijanie składali sobie życzenia, a muzułmanie przyglądali się temu. Wielu z naszych sąsiadów włączało w Wielkanoc włoski kanał telewizyjny i oglądało uroczystą mszę świętą na Placu św. Piotra w Rzymie. W Libii szczególnie szacunek i podziw okazywano Janowi Pawłowi II. Nazywano go Baba Johanni. Muzułmanie milcząco uczestniczyli w naszym świętowaniu. Potem trzeba było tłumaczyć im przebieg uroczystości.

A wielkanocne popołudnie spędzałam z siostrami u naszego sąsiada Józefa. Siostra Mary piekła jeszcze jednego baranka wielkanocnego. Wbrew tradycji Józef spędzał to popołudnie z kobietami. Jego żona przygotowywała aromatyczną herbatę arabską, a córki usługiwały. Wszyscy siedzieliśmy na dywanie, zaś na środku stał suto zastawiony okrągły stolik. Panowała atmosfera Wieczernika. Byłam więcej niż pewna, że zmartwychwstały Jezus był obecny pośród nas.

Znałyśmy jeszcze jednego muzułmanina, który często u nas bywał. Mohammed miał żonę Chorwatkę, Elisabeth, oraz dwóch synów. Żonę poznał w Niemczech podczas studiów w Europie. Po przyjeździe do Libii jego żona „przeszła” na islam. Zamieszkali z jego rodziną. Z czasem Elisabeth, widząc wiarę rodziny męża, zaczęła nawracać się na utraconą wiarę chrześcijańską. Nie mogąc jej praktykować, bardzo z tego powodu cierpiała. Mohammed, by oszczędzić żonie cierpienie, kupił oddzielne mieszkanie, zerwał z rodziną, a także wziął z żoną ślub w kościele, jakiego udziela się małżeństwom mieszanym, oraz dał jej wolność w praktykowaniu religii. Od tego czasu Elisabeth zawsze przyjeżdżała do kościoła na msze święte i inne uroczystości. Wolność, którą Mohammed ofiarował żonie, wiele go kosztowała. Był z tego powodu prześladowany przez rodzinę, sąsiadów, a także w pracy. Wiele razy musiał zmieniać mieszkanie i pracę. Prześladowali go nawet jego synowie, którzy w szkole zostali wychowani na gorliwych muzułmanów. Wyrzucali ojcu brak podobnej gorliwości. Również Elisabeth ubolewała nad tym, że Mohammed nie jest ani praktykującym muzułmaninem, ani chrześcijaninem. Przeżywała paniczny lęk o jego zbawienie. Najbardziej spokojny ze wszystkich w tym – po ludzku sądząc – koszmarnym życiu był tymczasem Mohammed. Kiedy do nas przychodził, pierwsze chwile spędzał przed tekstem modlitwy „Ojcze nasz” napisanej po arabsku. Medytował jej tekst i mówił, że jest to jedyna modlitwa, która pomaga mu znosić wszelkie życiowe przeciwności oraz pozostawać spokojnym o los najbliższych. Do dzisiaj pozostał mi w pamięci jego spokój, którym promieniował, oraz to, że mimo prześladowań do nikogo nie żywił urazy. Żył jak chrześcijanin, choć oficjal-

nie nie mógł przyjąć chrztu, bo to oznaczałoby dla niego pewną śmierć, a przecież musiał utrzymać najbliższych i zapewnić im przyszłość.

Byli jednak tacy muzułmanie, którzy ryzykowali życiem. Podczas mojego pobytu w Tunezji poznałam kobietę, która porzuciła islam i przygotowywała się do chrztu. Jej najmłodsza córka skończyła medycynę i dostała pracę. Pozostałe dzieci też się usamodzielnily, więc uznała, że to najlepszy moment, by stać się chrześcijanką. Oczywiście, ryzykowała życie, odrzucenie przez własną rodzinę oraz życie w samotności. Jej decyzję umocniło pewne zdarzenie, o którym ze wzruszeniem nam opowiedziała. Jednego razu, gdy uczestniczyła w niedzielnej Eucharystii, zauważyła, że podczas Komunii świętej młody Tunezyjczyk, muzułmanin, podszedł do kapłana, wziął Hostię na rękę i potem dyskretnie schował ją do kieszeni. Gdy to spostrzegła, szybko wyszła przed katedrę i oburzona rzuciła się na chłopaka. Ten, ze zwieszoną głową, wysłuchał wszystkich oskarżeń i wyrzutów. Kiedy kobieta skończyła, chłopak powiedział, że nie zrobił tego, by sprofanować Hostię, ale na prośbę matki. Była w ostatnim stadium raka i bardzo cierpiała. Leki przeciwbólowe już nie przynosiły jej ulgi, więc poprosiła syna, by poszedł do katedry na najważniejszą modlitwę chrześcijan i przyniósł jej Chleb, który jest rozdawany pod koniec modlitwy. Bardzo wierzyła, że ten Chleb, dający chrześcijanom moc do znoszenia wszelkich życiowych cierpień i przeciwności, również jej pomoże znieść cierpienia oraz godnie przejść do wieczności. Przyszła chrześcijanka doskonale rozumiała to pragnienie i pozwoliła mu zabrać Hostię do domu.

~•~

ANNA SIUDAK FMM

**Dialog życia z wyznawcami islamu.
Świadectwo katolickiej misjonarki**

Streszczenie

Dialog życia jest podstawową formą dialogu, który Kościół katolicki prowadzi z innymi religiami. Taką formę ewangelizacji prowadziłam jako Franciszka Misjonarka Maryi (FMM) w Afryce Północnej.

Dialog życia z wyznawcami islamu polegał na życzliwym obcowaniu z nimi w dzielnicy, w której mieszkałam i pracowałam. Opierał się przede wszystkim na naturalnej ludzkiej solidarności i codziennych kontaktach w duchu tolerancji oraz wysiłku zrozumienia na-

szych odrębności. Pracowałam w Centrum dla Sparalizowanych Dzieci w Trypolisie i byłam tam jedyną Europejką i chrześcijanką. Zarabiałam tyle, co inni Libijczycy. Mieszkałam w jednej z ich dzielnic, w domu połączonym trzema ścianami i tarasem z innymi domami. Pracując z wyznawcami islamu miałam wolne od pracy piątki i wszystkie muzułmańskie święta.

Reprezentowałam religijną i narodową mniejszość, a moja rola sprowadzała się do służby. Zawód pielęgniarki bardzo mi ją ułatwiał. W pracy czułam się jak w wielkiej, solidarnej rodzinie. Nie czułam się tam ani wyobcowana, ani zagrożona, wręcz przeciwnie – odnalazłam grono oddanych przyjaciół.

Słowa kluczowe: dialog życia, islam, relacje z wyznawcami islamu, współpraca, tolerancja.

ANNA SIUDAK FMM

**Dialogue of life with the followers of Islam
Testimony of a Catholic missionary**

Abstract

Dialogue of life is a basic form of dialogue that the Catholic Church conducts with other religions. This form of evangelization I practised as a Franciscan Missionary of Mary (FMM) in North Africa.

Dialogue of life with Muslims was based on the benevolent dealing with them in a neighbourhood in which I lived and worked. It was based primarily on the natural human solidarity and daily contacts in a spirit of tolerance and effort to understand our differences. I worked at the Centre for Paralyzed Children in Tripoli, and have been the only European and Christian. I earned as much as other Libyans. I lived in one of their neighbourhoods, in a house joined with other ones by three walls and a terrace. Working with the followers of Islam I had Fridays and all Muslim holidays free.

I represented the religious and national minority, and my role was confined to the service. Occupation of a nurse really facilitated it. At work, I felt a great family solidarity. I did not feel there neither alienated nor threatened, on the contrary - I found the circle of devoted friends.

Keywords: dialogue of life, Islam, relations with followers of Islam, cooperation, tolerance.